

Od autora: wspomnienie

cd.

Zawzięłem się... zresztą, nie miałem wyboru. Powolutku, z częstymi przerwami na odpoczynek, skrajnie wyczerpany dowlokłem się do domu po trzech kwadransach. Ostatkiem sił, mimo bólu pomagając sobie prawą ręką, wniósłem rower na półpiętro w klatce schodowej, gdzie miałem schowek pod schodami.

Stałem przed drzwiami mieszkania, już wyobrażając sobie krzyk połowicy. Nie okrzyk radości na widok papieru, ale czegoś przeciwnego na mój wygląd. „A może nie jest tak źle, jak sobie wyobrażam? – przemknęła mi cicha nadzieja. – Przecież ten facet mówił, że prawie nie krwawię. Ramię przecież też zbite, ale niemocno podrapane; te drobne strużki krwi już nawet poprzysychały. Może więc tylko wałnąłem i przeturlałem się, ale nie przeorałem po asfalcie, może skóry z głowy nie zdarłem?”.

„A, co będzie, to i tak będzie”! Przywołałem na twarz szeroki uśmiech... o dziwo, nic nie zapiekło. Po czytałem to za potwierdzenie mojej nadziei na tylko obicie czaszki bez uszkodzenia skóry policzków. Trochę ulżyło. Zasłoniłem się girlandą dupnego papieru i bohatercko nacisnąłem dzwonek u drzwi. „Może uda mi się przemknąć do łazienki, ustawiając lewym, zdrowym bokiem? – deliberowałem, oczekując na ich otwarcie. – Może małżonce oczy zajdą mgłą z radości na widok papieru? A ja myk obok niej do umywalki. Tam się pozbędę zaschniętych strużek krwi, obmyję i dopiero ukażę. Człek czystszy nie wywołuje już tak skrajnych emocji. Jak to było w tym filmie? Człowiek w krawacie jest mniej awanturujący się? O, właśnie, to może też dotyczyć drugiej osoby”.

Miałem czas na rozmyślanie, gdyż drzwi dalej były zamknięte. „Chyba nie ma nikogo w domu”! – Po odczekaniu jeszcze kilku sekund sam je otworzyłem. To była niespodziewana, ale dobra okazja, aby doprowadzić do jako takiego porządku własną facjatę. Po wejściu do mieszkania i położeniu w kuchni zdobycznego papieru toaletowego wszedłem do łazienki. Szybki rzut oka w lustro w łazience, z obawą: „Jak wyglądam”?

„O, jasny gwint”! Widok był przeciwny temu, jakiego się spodziewałem. Prawy bark, ale już bardziej bliżej pleców, miałem naznaczony czarnymi kropkami i plamkami, jakby mnie ktoś przez sito ochlapał farbą. Podobne, ale mniej liczne ciemne punkciki odznaczały się na czole i skroni. „Co to, do cholery, jest”?! – nie zważając na ból wydlubałem paznokciem jedną z tych maleńkich grudek. Po zbliżeniu do oka od razu się wyjaśniło – była to drobina piasku obsmarowana asfaltem. Właściwie nie asfaltem, tylko smołą. Ona rozmiękała od promieni słońca w upalny dzień, kiedy jezdnia mocno się nagrzała. „Cholerne oszczędności! – mimo bólu wkurzyłem się. – Dodają więcej smoły do asfaltu na drogach, gdyż jest kilka razy tańsza. Potem koleiny się robią... ale żeby lać to nawet na skrzyżowaniach? Jak ja przez to wyglądam?! Nie dość, że łeb i bark obity, to jeszcze jakbym na Murzyna przez firankę się opalił”.

Na szczęście faktycznie nie przeorałem głowę, skóra nie była pozdzierana. Zacząłem delikatnie obmywać wodą bolesne miejsca, nie zważając na zwiększone pieczenie. Część większych drobin udało się wyskubać, ale najmniejszy piasek pozostał w skórze głowy i barku. „Sacrebleu, ale piecze”! Przez moje manipulacje ręka i bark jeszcze bardziej rozbolały, ale, o dziwo, głowa mniej już doskwierała. Przyjąłem to jako dobry objaw. „Nie jest chyba tak źle” – przemknęło mi przez głowę. Do końca zmyłem zaschniętą krew; świeże strupy zostały tylko na niewielkich rankach.

– Zdzisiu, już jesteś? – Właśnie delikatnie się wycierałem, kiedy doszedł mnie przez drzwi łazienki głos

małzonki. – Byłam w sklepie... O Jezu, dostałeś papier?! – Od razu jej głos, nabrzmiący radością, wzmacnił się o kilkanaście decybeli. – Gdzie?!

– Tak, wróciłem. – Odwlekałem jeszcze wyjście z łazienki, opóźniając nieuchronne. – W mieście, jak wracałem. Akurat ludzie się zbiegali i zdążyłem. Tylko po drodze się wywróciłem przy Krzyżu. Na szczęście lekko, ale rower mocno uszkodzony...

Nie zdążyłem dokończyć, a już drzwi łazienki gwałtownie się otworzyły, szarpnięte od zewnątrz.

– Miałeś wypadek?! Pokaż! – Oczy małzonki zrobiły się okrągłe jak spodeczki. – O matko!

– Ee tam – próbowałem zbagatelizować. Wysiłem się na uśmiech mimo jeszcze odczuwanego pieczenia i bólu ramienia. – Drobną wywrotką. Zdarza się.

– Drobną?! Przecież się w głowę uderzyłeś! I twoja ręka. – Przyjrzała się jej i dotknęła łokcia. – A skąd wiesz, że nie jest złamana?! Idziemy do przychodni!

Westchnąłem odruchowo, próbując stłumić mimowolny syk.

– A tam, poboli i przestanie. Głowa już prawie przestała boleć, naprawdę tylko lekko się uderzyłem. – Nie skłamałem. Może nie „już prawie”, ale wyraźnie mniej ją odczuwałem. – Jakbym miał coś złamane, to bym czuł. Poczekam do jutra. Jak będzie gorzej, to pójdę do lekarza.

– Nie jutro, ale natychmiast! – Czasem małżonka była bardzo zdecydowana i wtedy nie przyjmowała do wiadomości odrębnego zdania. – Idziemy!

– Naprawdę, już mnie prawie nie boli. To tylko kilka zadrapań...

– Zadrapań? A te czarne kropki w głowie?! – Aż usta zagryzła, próbując dotknąć dłonią mojej skroni. Odsunąłem się odruchowo. – Nie, no... No już, idziemy.

Westchnąłem ponownie. „A cholera wie, lepiej faktycznie się prześwietlę” – w myśli przyznałem jednak rację połowicy.

Po kilku minutach weszliśmy do przychodni. Pora była ledwie popołudniowa, ale, o dziwo, nie było już prawie nikogo z oczekujących. Widocznie tłum pacjentów rzeczywistych i urojonych, który każdego ranka oblegał gabinety lekarskie, wyjątkowo szybko został tego dnia obsłużony.

Nie trwało długo, a już przyjął mnie lekarz. Oglądnął z uwagą głowę, obmacał rękę i usiadł ponownie za biurkiem. Cicho wypuściłem powietrze z płuc; znowu bardziej zaboląło mnie przy badaniu.

– Na rowerze? – zapytał, chociaż wcześniej pokrótce już mu opowiedziałem, co się zdarzyło. – Masz pan i tak szczęście. Mogło się gorzej skończyć. – Popukał palcami w blat biurka. – Ma pan jakieś mrocзки, zachwiania równowagi przy chodzeniu? – dokończył, wyciągając z szuflady druczki skierowań.

– Nie, panie doktorze. Tyle co bark boli i ręka w łokciu piecze, ale ruszam ją. Głowa już prawie dobrze, ból mija.

– Jakby w nocy lub jutro poczuł się pan źle, to natychmiast do pogotowia. Mógł pan mieć wstrząśnienie mózgu. – Podał mi wypisaną już karteczkę. – Proszę, to na prześwietlenie barku i ręki. Pani Krysiu – zw-

rócił się do stojącej obok pielęgniarki – proszę oczyścić ranki.

* * *

Prześwietlenie nie wykazało złamań. Nie pierwszy i nie ostatni raz skończyło się tylko na granatowych siniakach, obrzmieniu stłuczonych miejsc i kilkudniowym bólu. Trochę dłużej trwało moje pożegnanie z czarnymi drobinkami piasku wbitymi w skórę barku i czoła, ale po miesiącu opuściły mnie bezpowrotnie, ku mojemu niezmiernemu zadowoleniu. Już zacząłem się obawiać, czy nie zostaną na stałe.

Najdłużej rehabilitowałem staw barkowy – dopiero po pół roku, codziennie wykonując ćwiczenia ramieniem na tyle, ile mogłem, odzyskałem w nim pełną sprawność i wyprostowałem rękę pionowo do góry.

Jedyną materialną szkodą była konieczność zakupu nowego widelca w rowerze i jego naprawy. Na szczęście wysupłana kwota nie okazała się zbyt duża i po tygodniu znowu śmigałem na pasacie. Ból po wywrótcie i koszty doprowadzenia roweru do stanu używalności miały małe znaczenie w porównaniu z radością ze zdobycia całej girlandy papieru toaletowego.

Wyniosłem też nauczkę. Już nigdy nie wieszałem na kierownicy roweru luźno zwisających bambetli czy toreb. Najlepiej zapamiętuje się własne błędy; zwłaszcza odczute fizycznie na sobie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 27.11.2022 13:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.